

Stefania Chłędowska

ZUZANNA MIĘDZY STARCAMI



Stefania Chłędowska

Zuzanna między starcami

.....

Fundacja FESTINA LENTE

Są ludzie naiwni, którzy sądzą, że świat cały dla nich jest stworzony, na ich wyłącznie użytek i dla ich przyjemności. Wszakże dla Adama stworzył Bóg raj i stworzył Ewę, i wszystkich zwierząt po parce, i drzewo pokryte owocem, i wodę napełnioną rybami. Odtąd każdy człowiek jest we własnym mniemaniu rodzajem Adama, już nie pierwszym z ludzi, ale jedynym z ludzkości.

Rzecz jednak dziwna, już nas tylu żyło na tej pięknej ziemi, która przecież wyłącznie dla każdego z nas ma być stworzona, i tylu przeszło i zginęło, a świat się nie cofnął i nie odmienił toru. Musi tam przecież być wyższe prawo porządku i odwiecznego ładu, które rządzi wszechświatem, ale człowiek nie zawsze o nim chce wiedzieć, sądzi się być początkiem i końcem, środkiem i celem stworzenia, bo mu z tym wygodniej.

Ojciec Jan, przeor klasztoru Dominikanów w miasteczku S. był właśnie jednym z tych, co na świat cały nakładają osobistą kontrybucję. W zupełnie dobrej wierze i poczciwości ducha, bo był to człek zresztą z gruntu poczciwy i zacny, ojciec Jan gotów był uwierzyć w to, że św. Dominik niegdyś założył zakon, nie tyle dla tępienia innowierców, ile dlatego, aby on kiedyś mógł

zostać przeorem dwudziestu pięciu braciszków, a grube mury klasztoru dlatego w XVII wieku wytrzymały ciężki szturm szwedzki, bo w południowym skrzydle klasztoru znajdowała się celka bardzo wygodna, w której przeor spędził cicho trzydzieści lat spokojnego żywota. Czegóż Bóg nie zdziała, czego nie dokążą ludzie, aby jednemu człowiekowi wygodnie było na świecie. Mnóstwo okoliczności, mniej lub więcej ważnych, składało się na szczęście niczym niezmacone Przeora. Wszakże i to było wyraźnym zrządzeniem Opatrzności, że o małe pół milki od miasteczka w wioszczynie, zamkniętej między górami już na samej granicy galicyjsko-węgierskiej, mieszkała pułkownikowa Sczebrzycka, wdowa po pułkowniku wojsk napoleońskich, wielka przyjaciółka ojca Jana.

Staruszka to była, ceniąca przede wszystkim spokój i pieniądze; mimo ubożego owsianego gospodarstwa, potrafiła już uciułać grosz do grosza i w kantorku miała kilkanaście listów zastawnych na posag dla wnuczki Zuzi; numery listów zapisane były na karteczce w książce do nabożeństwa, pomiędzy modlitwą o deszcz i modlitwą po stracie drogiej osoby. Wiele katastrof publicznych i prywatnych, klęski pieniężne i sercowe żałoby wpłynęły na to, że Pułkownikowa żyła w zupełnym odosobnieniu, jakby odcięta od świata i tylko codziennie sprowadzała Przeora na partyjkę wista lub preferansa, do której oprócz *Reverendissimusa* zasiadały trzy osoby domowe, sama pani domu, jej przyjaciółka, a niegdyś panna respektowa jej matki, stara panna

Euzebia Fischer, zwana powszechnie Ciotunią i wnuczka Zuzia, faworytka Przeora.

Przy kartach gadało się o tym i owym, a zawsze prawie o dawnych czasach.

–Dawne czasy, o! Dawne czasy – gderiała Pułkownikowa – o czym to mówić? Dawniej i ludzie byli lepsi, i kobiety ładniejsze i pocziwsze, a dzisiaj są złe i brzydkie; pokażcie mi dziś ładną kobietę! Czy która dorówna pannie starościance z Brzeska albo wojewodzinie Wodzińskiej? Albo Anusi, co bawiła w domu generałowej Kickiej? Albo i ja?... – dodawała z pewną dumą babka Zuzi, i prostując już i tak wyprostowaną figurę, i spuszcżając czarną mantylkę z jednego ramienia na drugie. – I ja byłam niczego. Dzisiaj wszystko i wszyscy się zepsuli.

Zapewne, że tak jest, potakiwał Przeor – wszystko jest już złym i zepsutym na tej naszej biednej starej ziemi, ludzie myślą tylko o cudzej szkodzie i o własnej korzyści; ludzkość jest doprawdy stekiem brudnych intryg, egoistycznych zabiegów, podłostek, hipokryzji i wzajemnych podejść. Ale przecież są wyjątki, chociaż rzadkie i takim wyjątkiem była faworytka Zuzia; że ją Pan Bóg wyjął z ogólnego prawa zepsucia, to znowu szło na osobistą jego korzyść. Zuzia miała lat szesnaście, a już w preferansa i wista grała wybornie; zdawałoby się, że na to tylko była miła i ładna, aby dobrze grać w preferansa i być, od lat paru, codzienną partnerką Przeora.

Ojciec Jan zresztą jej się odwdzięczał – w imieniny miała od niego panienska pudełeczko cukierków, a

codziennie prawie przynosił jej coś za czarnym dominikańskim pasem albo w szerokich białych rękawach habitu, to kilka wybornych jabłek z klasztornego ogrodu, to obrazek święty albo paczkę pierników, których sławna fabryka była w miasteczku, za ratuszem, na ulicy Celnej.

I tego dnia, jak zwykle, wybierał się X. Przeor na codzienną partyjkę; już stary Maciej, furman tych pań i ogrodnik w jednej osobie, zajechał przed furkę klasztorną i drzemał spokojnie, trzymając luźno cugle w rękę. Konie, stare wybrakowane emeryty, które już lat piętnaście chodziły w tym samym zaprzęgu i po tej samej drodze, znały doskonale naturę Macieja; i one pospuszczały także łby i stały bez ruchu, położyły uszy po sobie, nogi zgięte, ogon stulony. Od czasu do czasu tylko siwa klacz Berta położyła łeb na szyi wiernego towarzysza Maćka, co spowodowało chwilowe przebudzenie Macieja przetarcie oczu, przypatrzenie się biczowi i ponowną drzemkę. X. Przeor tymczasem, opatrzywszy się w dużą bundę z kapturem, i zawinąwszy w chustki: kilkanaście gruszek zimowych dla Zuzi, przeszedł korytarze klasztorne, ubrane w obrazy święte i w portrety fundatorów; na podwórzu rozmówił się jeszcze z braciszkiem o nabożeństwo, które miało się odbyć za dni kilka solennie, na intencję urodzin Zuzi i wsiadł do bryczki z zwykłym zapytaniem: „A co tam słyhać Macieju? Zdrowi wszyscy?”. Przedpotopowy ekwipaż ruszył powoli, brnąc po piasku, podczas gdy Maciej odpowiadał: „A nic, proszę Jegomościunia, panienka zdrowa”.

We dworku jeszcze było ciemno, a w salonie tyle tylko światła, ile od ognia kominkowego. Salonik to był niewielki, podłoga starannie wyfroterowana i pokryta we wszystkich możliwych kierunkach płótnem, dla oszczędności frotera; na kominku dość dużym, staroświeckim, palił się ogień i płomień buchający z suchych gałęzi buczyny oświecał chwilami cały pokój i znajdujące się w nim osoby i sprzęty. Staruszka siedziała w wielkim, zielonym rypсовym fotelu, z nogami na stołeczku i, robiąc na pamięć pończochę, nuciła cienkim falsetem arię ze ślicznej opery, jakiej już dziś nikt nie skomponuje - z „Lodoiski” Cherubiniego.

Przy kominku drzemała znad gazety Ciotunia, a Zuzia krzątała się koło zielonego stolika; postawiła świeczniki brązowe, przedstawiające dwie duże, sztywne egipskie niewolnice, położyła karty, a wszystko tak cicho i spokojnie, że i kot Mruczek, grzejący się przy ogniu, nie mógł się ciszej zachować,

W szarą godzinę wszystko zdawało się drzemać w saloniku, w którym dziwny panował spokój. Okna zasłonięte były muślinowymi firankami niepokalanej czystości, zasuniętymi za białe porcelanowe lilie; na małym stoliku, pod lustrem stała żelazna statuetka Napoleona pomiędzy dwoma bukietami z kawy migdałów i bobkowych liści. W szafie rogowej, za szkłem i pod kluczem, były różne staroświeckie sprzączki, prawdziwe relikwie, jako to: gruszka bukszpanowa do pachnideł, dar niegdyś ambasadora perskiego w przejeździe przez Warszawę w 1807 roku, tabakierka z miniaturą Amorka, w której suszyły się

nasionka, dzwonek loretański , wielka filizanka
sewrska, z wypisaną złotymi literami piosnką
napoleońską, której początek brzmiał:

*La France était comme une fleur,
Perdue au milieu des épines,
N'ayant plus rien de sa splendeur,
Ni de sa couleur purpurine itd.*

Tę piosnką śpiewała Ciotunia jako panienska, przy
akompaniamencie gitary, jako dobra uczennica
Petinettiego,

Koło komina stał haftowany parawanik,
przedstawiający bitwę pod Samosierrą. Sofa pod ścianą
i dwanaście foteli obite były w rodzaj perkalu z
deseniem róż na tle czarnym.

Jedynymi obrazami na ścianie były dwa hafty na
kanwie, z których jeden przedstawiał małego Mojżesza,
drugi – księcia Józefa Poniatowskiego, skaczącego do
Elstery; z daleka narzucały się widzowi oczy księcia z
dwóch wielkich błękitnych paciorków. Portret
nieboszczyka Pułkownika, niegdyś wiszący w saloniku,
przeniesiono do sypialnego pokoju wdowy nad łóżko,
między krucyfiks i Matkę Boską Bolesną.

Dla dokładności opisu wspomnę tylko o zegarze
ściennym w wielkiej staroświeckiej szafie z czarnego
drzewa, który solennie wybijał tik-tak, jakby podając
główną nutę pod ciche ćwierkanie świerszcza pod
piecem.

Dodajmy stolik do kart, przysunięty blisko do komina, z rozłożonym i dwiema taliami kart i pudełeczkiem cygar, przygotowanych dla codziennego gościa; z jednej strony stołu duży fotel staroświecki, wygodny, z dwiema skórzanymi poduszkami; pod stołem miękki taboret pod nogi; w pokoju miły spokój, powietrze zaciszne, szesnaście stopni ciepła, zapach lawendy; w drugim pokoju - stół nakryty i samowar, koło którego kręciła się Zuzia z kluczykami.

Wyobraźmy sobie to wszystko, a będziemy mieli dokładne pojęcie, jaki to był raj dla Przeora, ten codzienny od lat kilku preferans u Pułkownikowej.

– No! Popędzaj, bratku! – mówił Ojciec do Macieja, który na rogu uliczki, koło ratusza zdawał się znowu zasypiać wraz z Bertą i Maćkiem.

– Nie mogę – odparł staruszek z kozła – konie jutro idą w drogę.

Ta wiadomość była czymś nadzwyczajnym. Przeor niespokojnie poruszył się na siedzeniu.

– Miłosierdzia! Człowieku, co gadasz? Przecież jutro nie mamy żadnego odpustu.

Konie bowiem Pułkownikowej nigdy nie szły w dalszą drogę, chyba na odpust z Przeorem.

– Pani starsza kazali mi przygotować konie, co mam jechać na kolej po gościa – odparł furman – a to sześć mil z okładem.

– Po kogo? – szarpnął się Przeor.

– Po gościa – powtórzył tylko spokojnie Mazur i zamilkł, nie dając dalszych objaśnień.

Przez półgodzinną drogę do dworku ten tajemniczy „gość” przybrał w wyobraźni Przeora rozmiary apokaliptyczne. Pierwszy to gość, którego pamiętał od lat wielu w Dąbrówce, a wszystko co nowe, odmienne, to staremu niedogodne. Z wiekiem egoizm bardzo naiwny przyrasta do nas i czepia się zarazem życia naszego i ducha. Jest to rodzaj pleśni, pod którą nam ciepło – i póty dobrze, póki jej kto nie naruszy i nie zmieni zwykłych warunków życia. Do szczęścia potrzeba było Przeorowi niezmienności, aby wskazówki zegara nie postępowały, a słońce, jak owo biblijne słońce Jozuego, zatrzymało się na jednym miejscu.

Zwykle gdy wchodził do przedpokoju w dworku, witało go z saloniku na wpół żartobliwie zapytanie Pułkownikowej: „A kto tam? Czy nie złodziej?” – na co odpowiadał niezmiennie Ojciec: „Sługa Pański i Pani Dobrodziejki”. Tym razem zaś staruszka tak była zajęta myślami, że odstąpiła od zwykłego programu. Przeor trochę drżącą ręką odwiązywał cztery rogi czerwonej chustki, w której były gruszki, gdy Pułkownikowa powtórzyła słowa Macieja:

– Spodziewam się gościa. A to Ojciec niezgrabny, wszystkie gruszki rozsypał... Mruczka mi Ojciec rozbił... Mruczek tu... kić... no! Wskoczył na okno, rozbił mi rezedę, to już jakiś dzień feralny!

Przy wiście, który dnia tego nie szedł, bo wszyscy byli roztargnieni, opowiedziała staruszka więcej szczegółów o spodziewanym gościu. Był bliskim krewnym Pułkownikowej, jej ojca, a matkę Majora, rodziły dwie Sobkowiczowny; był emigrantem.

– Emigrantem – powtórzył tylko Przeor, któremu od razu w myśli stanął Mazzini, Garibaldi, bomby Orsiniego, loże wolnomularskie itd.

– Był w Paryżu i gdzieś tam się błąkał po świecie, był w Turcji, bodaj czy nie w Ameryce, a teraz zatęsknił za ostatnią, rodziną, jaka mu pozostała; pragnął choć umrzeć między swoimi.

Ciotunia, która – wbrew Pułkownikowej – zachowała dotąd czułe serce dla ludzkości (była bowiem starą panną), odezwała się nieśmiało o bohaterstwie Majora:

– Co bohater, jaki bohater – wpadła jej w słowo Pułkownikowa, w bardzo złym humorze – byłaś zawsze egzaltowana, moja Fiszerko, taki bohater, że wszystko co miał, to prawie stracił i kiedyś kula obita mu się o mózg, tak, że jest trochę... – I zrobiła wymowny znak ręką po czole.

– Masz tobie – pomyślał Ojciec Jan – będziemy mieli wariata na czwartego do wista.

Nazajutrz – co się już od lat ośmiu nie trafiło Przeorowi – przyjechał do Dąbrówki najętą furmanką i każde trzęsienie lichej bryczulki, odbicie o kamień, szarpnięcie lejcamy nieumiejętnego furmana szło na ciężki rachunek, który miał być kiedyś zlikwidowany między Ojcem a Majorem. W sieni pierwszą rzeczą, która uderzyła wzrok Przeora był wielkie płaszcz z peleryną, jaki nosili eleganci w trzydziestym roku – z wytartym kołnierzem, zielonym, aksamitnym. W kącie sieni stała wielka czarna laska, taka, jaką się posługują inwalidzi. Jakież musiało być wzruszenie biednego

Przeora, gdy wchodząc do saloniku, spostrzegł na fotelu, na swoim fotelu, na swoich poduszkach, z tej strony stołu, z której najlepiej grzał ogień, Majora i Zuzię przy nim na niskim stołeczku, patrzącą mu w oczy z dziwnym jakimś wyrazem pocziwego uwielbienia. Wilk był w owczarni! – i Przeor, dotąd jedyny pan w twierdzy, miał rywala! A przecież twarz Majora nie miała nic tak złowrogiego; była niezmiernie zacna i pocziwa; zresztą staruszek był kaleką, miał jedną nogę, odjęto mu drugą przed laty w jakimś ambulansie tureckim i musiał o kuli chodzić. To stało się od razu tytułem do łask Zuzi, bo nie mogła wyobrazić sobie, jak można żyć na świecie nie tańcząc, nie skacząc, przynajmniej nie chodząc swobodnie i prędko. Dla niej samo gderanie Babuni: „Idź wolno przez pokój” było męczarnią, a cóż dopiero być kaleką?

I dlatego od razu pokochała Majora; w chwili, gdy wchodził Przeor, właśnie ujęła rękę inwalidy, prawie żołnierską rękę, twardą, pogrubioną, jak stary kij sękatą, i pocałowała.

– Mój biedny dziaduniu – mówiła tym głosem pieścizotliwym, na wpół macierzyńskim, który przybierają młode panienki, czujące wobec starych całą niedelikatność tego, że są młode, ładne i zdrowe – więc mój biedny dziaduniu od lat trzydziestu nie byłeś między rodziną, między swoimi tak, przy dobrym ogniu, na wygodnym fotelu. Gdzież byłeś przez ten cały czas?

Major nie od razu odpowiedział. Był to człowiek dość niezwykły, przez ciągłą zmienność wyrazu na

twarży, w ruchach i w mowie, było w nim cośkolwiek żołnierza, a trochę apostoła i poety: żołnierza miał twardy i prosty ton mowy, apostoła i poety miękki i mistyczny sposób wyrażania się. Miał żołnierskie wąsy, bujne, siwe, pod którymi krył się uśmiech dobroduszny i nos prawdziwie kaprałski, co już nieraz spotkał się z tabakierką dla rozgrzania w czasie mroków i nieraz zaczerwieniał od wódki, Major bowiem nie bywał w świetnych kampaniach i nie w sztabie, gdzie piją szampana. W spojrzeniu znowu przebijał apostoł: wzrok niegdyś bystry i przenikliwy, dziś pokryty był jakby mglistą powłoką; coś w nim było tęsknego, czy wspomnienie, żal, czy przeczucie i nadzieja lepszego bytu.

– Gdzie byłem przez cały czas? – odparł Zuzi, patrząc zrazu na jej główkę jasną, a potem zapatrzony w płomień na kominie – Byłem, gdzie nas zamiótł wiatr, gdzie nas uniosła fala. Zbawiciel nasz – mówił łagodnie, coraz bardziej zapominając się w kontemplacji ognia – nie miał kędy schronić i położyć głowy, a my skarżyć byśmy się mieli, my, co mamy ścieżki jego prostować i przygotowywać nowe drogi...

Ból reumatyczny w nodze przerwał tok myśli staruszka.

– Boli cię dziaduniu? – niespokojnie zawołała Zuzia, widząc wyraz cierpienia na twarzy jego.

Major potarł nogę i roześmiał się:

– To nic – rzekł – stary to już gość moje reumatyzmy; pamiętają dawniejsze czasy niż ty, panienko moja.

Zuzia nie dała już Majorowi spokoju. Wist dnia tego dnia poszedł w zapomnienie i Przeor, siedząc na twardej sofie perkalowej, daleko od ognia, i Pułkownikowa, która się spod okularów bez wielkiego szacunku patrzyła na krewnego, musieli wysłuchać historii jego reumatyzmów, było to po prostu zaziębienie, które stąd się wzięło, że noc całą przesiedział w wodzie między szuwarem, kryjąc się przed nieprzyjacielem, który go szukał po wszystkich brzegach rzeki.

Zuzia ciągle dogadywała: „I co? I jak to było? I co dalej?” – przynajmniej w niej i w Ciotuni miał Major audytorium, które go słuchało z prawdziwym uwielbieniem i miłością. Poczciwa Ciotunia przy jednym epizodzie nawet obróciła się, aby otrzeć łzę rozczulenia, na co Pułkownikowa, która bardzo Fiszerkę lubiła, ale jej czułościowość lekceważyła, nieznacznie ruszyła ramionami.

– No, ale co to wszystko znaczy! – zakonkludował Major i znowu wyraz dobroduszny, szczery, który póty był na jego twarzy, póki wspominał rzeczywiste dzieje, ustąpił przed dziwną jakąś grą fizjonomii – co to wszystko znaczy? Wszystko, co tu wycierpimy, na ziemi, jest nam zadatkiem lepszego, szlachetniejszego bytu na tamtych gwiazdach. Przynajmniej mam niejaką, większą pewność, że skoro przeźrocze ducha mego opuści tę powłokę, obłóczy postać szlachetniejszej ode mnie istoty, a nie wejdzie w ciało na przykład tego kota... Chodź tu kici – zawołał stary i kot wskoczył mu

na kolana, zwijając się w kłębek – nie będzie w tobie nigdy duszy starego Majora, co? Prawda kocie?

Zapanowało głuche milczenie. Pułkownikowa tylko poprawiła okulary i wyprostowała się bardziej jeszcze. Przeor wstał, chciał coś powiedzieć, wyjął chustkę, którą otarł czoło.

Od godziny za wiele był przecierpiał. Wszystko, co Major przedtem mówił, zdawało mu się wymierzonym na niego pociskiem, na przykład to, że Zbawiciel nie miał kędy złożyć głowy – to był oczywisty przytyk do jego ciepłej celi i czterech poduszek pod głową; on, dominikanin i „pies pański”, on czuł, że nic jeszcze nie wycierpiał dla wielkiej sprawy. Ale że mu było dobrze i wygodnie, czy to grzech? On szczęściem swoim tak samo zasługiwał się Panu, jak inni cierpieniem i niedolą. Jednym życie wydaje kwiaty, drugim chwasty, według zrządzenia Boga. A przecież cały czas pocziwy Przeor czuł się upokorzonym, że nie był w Ameryce na puszczech ani w Konstantynopolu, ani nie pasł kóz na polach macedońskich, co wszystko należało do bohaterstw Majora; bolało go, że nie siedział nigdy w wodzie, kryjąc się przed wrogiem, a jeżeli miał reumatyzmy, to bardzo lekkie i, Bogiem a prawdą, nie z nadużycia wprawdzie, ale z ciągłego, spokojnego używania dobrze uprowiantowanej piwnicy klasztornej. Nie szło zaś Przeorowi o większą lub mniejszą zasługę, szło mu po prostu – o Zuzię, której oczy tak błyszczały, takie były pełne łez przy opowiadaniu starego kaleki. Faworytka starego Przeora, niewdzięczna, niepomna cukierków, gruszek i tym podobnych dobrodziejstw,

znalazła sobie nowy przedmiot dziecinnego przywiązania, pieczołowitości i adoracji. Od owej chwili znienawidził Majora, nie zdając sobie sprawy z tego, dość niechrześcijańskiego, uczucia. I dopiero monolog spirytystyczny Majora do kota wrócił mu nieco otuchy; dziś był zanadto pogiębiony, ale obiecał sobie, że przy pierwszej lepszej sposobności rozpocznie walkę: oczywiście Major nie był dobrym katolikiem, trącił herezją, kto wie, czy nie był farmazonem, zachowaj Boże! Przy pożegnaniu Pułkownikowa, która była także w złym usposobieniu, znowu zrobiła wymowny znak ręką po czole. Przeor tylko ramionami ruszył, jakby chciał powiedzieć: „Jam temu nie winien”.

Po odejściu zaś Majora, Zuzia rzuciła się, prawie płacząc, w objęcia Ciotuni.

– Moja droga Ciotuniu, jak mi żal Dziadunia; trzeba go bardzo, bardzo kochać, aby mu wynagrodzić, że taki był nieszczęśliwy!

I takim było pierwsze zawiązanie aliansu zaczepno-obronnego między Przeorem a Pułkownikową z jednej, a Zuzią, Majorem i Ciotunią z drugiej strony. Wkrótce walka miała zawrzeć na wszystkich punktach.

Pierwsze strzały z obozu nieprzyjacielskiego padły z okazji nabożeństwa, które miało się odbyć na intencję urodzin Zuzi, kończącej dnia tego lat szesnaście.

– Będziesz jutro na mszy? – spytała Pułkownikowa Majora w wigilię nabożeństwa przy śniadaniu.

– Nie... – odparł staruszek krótko.

– I dlaczegoż to? – spytała dość ostro Pułkownikowa po krótkiej chwili milczenia.

– Jeśli mam prawdę powiedzieć – odparł Major – nie lubię tego... Nauczyłem się modlić w gołym polu, nie potrzebuję księdza między mną a Bogiem...

Policzki staruszki pokryły się lekkim rumieńcem.

– Wolisz zapewne komunikować się z Bogiem za pomocą stolików.... – rzekła, patrząc w stromi Zuzi, niekontenta z tej rozmowy przy dziewczęciu.

Ale jeżeli to miała być przymówka, Major zupełnie na niej się nie poznał.

– Mamy wszyscy swoje sumienie – rzekł poważnie, nie mogąc dokończyć zdania, bo Pułkownikowa ostentacyjnie wstała, odsuwając z wielkim hałasem staroświecki fotel, zostawiła nawet kawę niedopitą i wyszła z pokoju.

Major z Zuzią zostali sam na sam; dziewczyna zaczęła mówić o czym innym, ale po niejakej chwili przysunęła się do Majora i pieszczotliwie pocałowała go w ramię.

– I ty byś nie poszedł, Dziaduniu, do kościoła – rzekła, gładząc rączką jego siwe włosy – pomodlić się za Zuzię, która jutro będzie starą panną, będzie miała lat szesnaście...

Major spojrział długo w jasne, poczciwe oczy Zuzi, twarz jego coraz to łagodniała.

– Będę, moje dziecko, będę, poszedłbym do bóżnicy na twoją prośbę.

– Ale to nie tak – mówiła Zuzia niekontenta – niech Dziadunio tak nie mówi, ale tylko tak: „będę w kościele, bo... bo.... chcę się modlić”.

– Niechaj będzie, jak rozkażesz; pójdę, bo chcę się modlić. Ja nie jestem człowiekiem nienabożnym, dziecko moje, tylko ostentacji nie lubię...

Jakoż rzeczywiście, Major nie tylko ostentacji nie lubił, ale i wszystko musiał robić inaczej, po swojemu. Nie cierpiał na przykład zachodu koło swojej osoby; od pierwszego dnia pobytu swego w Dąbrówce odprawił służącego od drzwi, gdy mu w piecu chciał palić.

– To moja rzecz – odparł – człowiek człowiekowi niech nie służy... ja sobie sam panem i sługą!

Prosił tylko, aby mu drzewa przyniesiono, a więcej nic. Sam, wstając codziennie o piątej, najpierw ogień rozdmuchał, potem szedł do studni po wodę, jakkolwiek trudno mu było z czerpaniem wody, jako kalece. Ale nie takie już niewygodę przecierpiał w życiu.

I na nabożeństwie dla Zuzi postąpił podług własnego natchnienia, nie poszedł do ławki przeznaczonej dla pań z Dąbrówki, zamkniętej, z herbem na drzwiczkach i z czerwonymi, wyblakłymi poduszkami na siedzeniu, do których Przeor kazał teraz dodać czwartą dla Majora, wprawdzie najgorszą, jaką znalazł w zakrystii. Staruszek poszedł między chłopów pod chór i tu stał czas jakiś, a Zuzia – jeśli rzuciła okiem na twarz jego, pełną wyrazu głębokiej skruchy i przejęcia się modlitwą – mogła radować się z odniesionego triumfu: Major się modlił i modlił się gorąco... Ale po chwili wywłókł się na chór i począł pomagać dziadkowi w kalikowaniu. W dalszym ciągu mszy usunął na bok organistę i sam uderzył w klawisze, a jakież było zdziwienie Przeora, gdy nagle z chóru

odezwała się dziwna jakaś fantazja, na pół pobożna, na pół świecka, w której coraz wyraźniej przebijały się motywy różnych nut narodowych, pieśni patriotyczno-żołnierskich, raz nawet zabrzmiało coś jakby rewolucyjny marsz Mierosławskiego.

Kto był obecny w kościele, oglądał się na chór, a Przeor, który dnia tego z osobliwym staraniem przybrał ołtarz i użył najstrojniejszych przyborów kościelnych na intencję faworytki, zupełnie chybił celu. Zuzia nawet nie spojrziała na wielki ołtarz, przez cały czas nabożeństwa klęczała, z twarzą zakrytą drobnymi rączkami; jej wąskie, prawie dziecinne ramiona i piersi podnosiły się jakby od serdecznego jakiegoś wzruszenia czy płaczu. Dotąd słyszała tylko fałszywo śpiewane i odegrane kolędy organisty, w tej zaś nucie szerokiej, brzmiącej nadzieją, tyle było wielkości, tak jej się zdawało, że Serafiny i Aniołowie, śpiewając u stóp Pana, wymodlą dla niej młodość inną, jakąś szerszą, większą aniżeli dotąd była jej młodość, trochę bezbarwna, zamknięta i przytłumiona.

– Dziękuję panu Majorowi Dobrodziejowi za pobudkę wojskową w czasie Mszy świętej – z przyciskiem mówił Przeor na cmentarzu, patrząc z boku na Zuzię, ale znowu przymówka chybiła celu.

– Prawda, że to śliczne? – odparł dobrodusznie Major, zacierając ręce, rozweselony grą i długim spacerem z Dąbrówki do kościoła przy ostrym zimowym powietrzu. – Jak ksiądz Przeor każe, to mogę mu zawsze służyć.

– Ach, Dziaduniu – zawołała Zuzia – weźże mnie wtedy zawsze z sobą!

Kilka dni trwało małe zawieszenie broni, ale przecież pokój błogi, którym nigdy oddychał Przeor w saloniku dąbrowskim, już był mu zatruty ciągłym widokiem nieprzyjaciela. Choćby to, że Major miał ciągle szczęście w kartach; los zrządał, że zwykle był, nawet w wiście, przeciwnikiem Przeora.

– Składam broń! Składam broń! – z ukrytym gniewem mówił *Reverendissimus* po każdym szlemie. – Kto tak, jak pan Major Dobrodziej ma zawsze w ręku same asy i atuty, z tym walczyć nie można.

I patrzył na Zuzię tak, iż się dziewczęcę mogło domyślić, że jej przywiązanie było owym atutem, którego zazdrościł Majorowi. Ale Zuzia wcale o czym innym myślała. Niedawno skończyła lat szesnaście, a tu zima właśnie była na schyłku; już śniegi znikły, wody, zebrane z górskich potoczków, z roztopowych śniegów, zapełniały łożysko rzeki i na dnie tej rzeki, przyjaciółki Zuzi, zaczynało szumieć życie. Któż wie, czemu budzi się serce? Skąd biorą się w ziemi nasionka tych pierwszych białych pierwiosnków, co kiełkują nieśmiało pod zużytą skorupą ziemi i pokazują się na jej powierzchni za pierwszym cieplejszym promieniem słońca?

Język, którym Major przemawiał, był zupełnie jakiś obcy, nowy dla dziewczęcia; dotąd nie słyszała o niczym innym, jak o siewach i o zbiorach – Pułkownikowa była bowiem wielką gospodynią – o odpustach i małych miejskich ploteczkach od Przeora; o

tym, że świat się psuje, ludzie są coraz gorsi, bo i złodziei namnożyło się na wsi; o tym, że najem się podniósł albo Kaśka od kuchni odeszła i nie da się już zastąpić Marysią folwarczną; że listy zastawne podnoszą się albo spadają itd.

Jedynym nieco szerszym tchnieniem było tchnienie dawnej przeszłości, bo i o niej przecież staruszkowie, wśród których się wychowała, lubili mówić. Zuzia знаła na pamięć wszystkie epizody z młodych lat babki Przeora. Ciotunia także jej mówiła często o sobie, powierzyła jej kiedyś nawet tajemnicę cichej i poświęconej miłości do Pułkownika – stary, wyblakły dagerotyp jego wisiał w pokoiku Ciotuni, a pod nim leżała poduszka, na której spał stary piesek faworyt, Neptun. Tam pierwsza, tu ostatnia miłość. Na rozstrojonym szpincyku usłyszała jeszcze czasem Zuzia walc księcia Reichstadu, albo Ipsylantego, wygrany drżącą już ręką Babuni, ale wśród tego wszystkiego młodość jej była jak zaszuszony kwiatek, ściśnięty w dwóch ćwiartkach papieru, bez powietrza, bez słońca.

Skąd teraz nagle przyszedł ten rozkwit pierwszej młodości, to uczucie przejmujące, dziwnie urocze, jakby jej skrzydła wyrastały u ramion, tego doprawdy nie umiałyby powiedzieć. W pierwsze ciepłe dni wiosenne wychodziła z Majorem na spacer, podpierając go, i tak powoli szli daleko, w pola. Mieli już swoją ulubioną gruszę, pod którą można było usiąść na dwóch płaskich polnych kamieniach. Nieraz Przeor, przyjeżdżając o zmroku do dworku, widział ich jeszcze rozmawiających – o czym?

Pod wpływem wesołej młodości Zuzi Major powoli stawał się tym, czym był dawniej: żołnierzem, wiarusem; gadał z nią jakby z towarzyszem boju. Nie naliczyłby opowiadań jego o szturmach na szaniec nieprzyjacielskie, o bitwie grochowskiej, o osaczeniu lasku olszynowego, w którym był nieprzyjaciel, o bohaterskich czynach czwartego pułku. Zuzi sypały się iskry z oczu: brała na ramię suchą gałąź niby broń, biła fartuszek rękoma jako bęben, była wiwandierką swego Majora, nauczyła się prezentować broń, maszerować, na prawo, na lewo, marsz!

Ale gdy już słońce miało się ku zachodowi i cały nieboskłon pokrywał się barwą ciepłą zarazem, a już mniej jasną, gdy z daleka wolniał ruch skrzydeł samotnego wiatraka i szerokie, nieskończone pola wyglądały jak jeden pas szarawy, zdawało się, że i ruch myśli starca wolniał stopniowo, a serce jego zaczynało tęsknić. Ziemia, odświeżająca się nowym życiem, żyła prawie pod jego nogami, czuł prawie jej oddech – to była ojczysta ziemia jego; po długich latach wędrówki po obcych krajach, po obcym piasku i żwirze, dotykał nareszcie stopą rodzinnej ziemi. Tu pragnął umrzeć – i o tym wszystkim mówił Zuzi; i o tej drodze, wspólnej Matce, którą zwiemy Ojczyzną. Zawsze, we wszystkich naszych miłościach, we wszystkich cierpieniach i uczuciach głębszych, natura jest naszą współniczką. Znałem starą osobę, która nie mogła wstrzymać się od łez, czując woń bzu, bo gdy przed laty oświadczył się jej kochanek, dziś dawno nieżyjący, to było pod krzakiem bzu i woń wiosennego kwiatu stała

się odtąd dla niej nierozłączoną ze wspomnieniem miłości.

I Zuzia od owej wiosny nigdy już nie będzie mogła pójść w pole w kwietniu i czuć to powietrze przejmujące, czyste, szerokie, i słyszeć szum potoku, i widzieć starą, zieloną gruszę, aby się w niej te same co owej wiosny nie obudziły uczucia. Wraz z wiosną, a więc wraz z byciem i nadzieją, zespoliło się w niej wielkie, pierwsze prawdziwe młodzińcze uczucie miłości ziemi ojczystej.

Tymczasem zielony stolik stał na zwykłym miejscu przy kominie, na którym już teraz nie było ognia, karty wprawdzie przygotowane były jak zazwyczaj i Przeor przyjeżdżał codziennie, i nie chybił nigdy godziny. Zwykle wchodził do saloniku w chwili, gdy głos starego zegara z wielkim chrzęstem i chrapaniem wygłaszał szóstą. Pułkownikową zastawał zawsze na tym samym miejscu, ale ani Zuzi, ani Majora. Ciotunię zaś trzeba było odrywać od gazet, których mnóstwo z zagranicy przychodziło teraz pod adresem Majora. Zza wielkiej rozłożonej gazety, która trochę drżała w jej ręku z powodu wzruszenia, widać było u Ciotuni tylko dwa wielkie, sztywno krochmalne końce kokardy od jej czepeczka.

Pułkownikowa była bardzo zniecierpliwiona. Była to jedna z tych najzacniejszych osób, które rodzinę kochają, ale nic poza tym; nie rozumiała „wielkich celów”, nigdy nawet filantropką nie była, z chłopami żadnego stosunku nie utrzymywała, a gdy drużbowie, przybrani w kwiaty i czerwone wstążki, przychodzili

prosić ją na wesele, chowała z tyłu ręce i kwaśno słuchała oracji. A już co do rezydentów domowych, niewysługujących się niczym, miała do nich prawdziwą antypatię. Nareszcie dnia jednego wyczerpała się ich cierpliwość. Do ósmej czekali na Majora z Zuzią; Ciotunia na wołanie Pułkownikowej, aby, nie czekając „bałamutów”, przyszła na trzecią do wista, odpowiadała ciągle zza gazety: „Zaraz – zaraz –niech Jejmość poczeka. Chce Jejmość, to jej przeczytam proklamację”.

– Ale moja Fiszerko...

– Śliczna, o! Niech Jejmość posłucha! „Na widnokręgu europejskim ..”

Pułkownikowa z hałasem odsunęła fotel i opierając się ciężko na stoliku:

– Moja Fiszerko – rzekła – idź lepiej, zobacz raczej, czy samowar nie wykipiał.

– A to istne skaranie Boże! – zawołała, opuszczając się znowu na fotel, a to doprawdy nie do wytrzymania. Ten stary – zatrzymała się chwilę – ten stary... wariat... wszystkim pozawracał głowy. Czy to rzecz słychana, dziś całe rano czyścił jakąś odwieczną fuzję, oderwał mi Macieja od koni i potem strzelali w ogrodzie do celu, aż mi w uszach szumi. Gdyby to już raz...

Nie dokończyła zdania, bo przecież trochę jej żal było starego krewnego, ale Przeor za nią myśli dokończył. I myśl niepoczciwa, judaszowska weszła w głowę starego. Odtąd myśl ta zaczęła go prześladować, nie mógł się jej obronić; gdy czytał brewiarz, słowa Pułkownikowej: „Gdyby to już raz....” wsuwały się

miedzy wyrazy modlitwy, gdy zasypiał, brzęczały mu nad uchem, jak rój much złośliwych. Z początku odpędzał tę myśl niepocziwą znakiem krzyża świętego, ale potem zaczął ją rozważać i nawet znajdować to rzeczą całkiem naturalną, że w Dąbrówce można by żyć bez Majora.

Major, niewinny jak nowonarodzone dziecko, nie domyślał się wcale tych wszystkich małych zawistek i sam się prawie oddawał w ręce nieprzyjaciela. Po kilkumiesięcznym pobycie w Dąbrówce, raz, w początkach jesieni, zawołał Zuzię do siebie. Był jakoś dziwnie wzruszony i miał minę tajemniczą – dziewczę zastało go siedzącego na kanapie, przed stołem, na którym leżało kilka gazet i listów z najrozmaitszymi znakami pocztowymi, świeżo rozpieczętowanych.

– Chodź tu, dziecko – rzekł bardzo uroczyście – i zamknij drzwi za sobą. Tobie jednej powiem wielką wiadomość, którą zachowasz w świętej tajemnicy.

Zuzia, trochę drżąca i przejęta uroczystością mowy Majora, usiadła przy nim w milczeniu.

– Kochasz swój naród?

– O Dziaduniu!

– Słuchaj więc i padaj na kolana, i dziękuj Bogu...

Będziemy mieli wojnę... Napoleona mamy jakby w kieszeni; rząd już funkcjonuje, pieniędzy jeszcze nie dość.

Zuzia była bardzo blada, bo cała krew zbiegła jej do serca.

– Mam tylko dwa dukaty, jeden od chrztu, a drugi z imienin – rzekła cichym głosem, bez tchu – przyniosę ci je zaraz.

Major nie słyszał, tak był zatopiony w marzeniu; nagle jakby łkanie odezwało się w piersi jego.

– I pomyśleć, żem kaleką, do niczego, wyrzucić mnie tylko między śmiecie.. Boże mój wielki.

Zuzia płacząc, rzuciła mu się w ramiona... I długi czas starzec i dziecko mówili, szepcząc sobie prawie do ucha... Major czytał jej cicho niektóre ustępy z listów, z gazet, i trwało to długo; powoli zmrok zapadł, cienie zaległy mały pokoik i tylko iskra, padająca czasem z fajki Majora, oświecała ciemność na krótkie mgnienie oka i gasła.

Teraz zaczęły się dni pełno niepokoju, trwogi, tajemnic – już i do reszty mieszkańców Dąbrówki zaczęły dochodzić głuche wieści. Przeor przywoził mnóstwo wiadomości z miasteczka, ale im wszystkim zaprzeczał z uporem i strachem starca, który pragnie, aby się nic nie odmieniało. Na to go nie stać było, żeby w rzecz wnikał, żeby sobie zdawał z jej doniosłości i następstw. Pułkownikowa niezupełnie dawała wiarę zapewnieniom pokojowym ojca Jana, ale pocieszała się tym, że te wszystkie niepokoje jednak za granicą się działy i nie dotykały w niczym prowincji austriackich, że podgórska wioska na węgierskiej granicy była zresztą zabezpieczona, jak gniazdko w miejscu niedostępnym dla myśliwego. Ale rachowała bez Majora.

Już dawno zaczęła się zima, pogodna w innych okolicach, ale wśród gór zawsze ostra. Grube śniegi spadły i zostały na całe miesiące, pokrywając dachy, drzewa i ziemię całą –dworek dąbrowski dobrze zabezpieczony był od zimna; na zewnątrz do połowy prawie otulony warstwami mchu, w oknach nie zostało ani najmniejszej szparki, kędy by doszedł ostry wiatr; między podwójnymi oknami, na pokładach piasku i mchu kwitły papierowe różyczki, starannie strzyżone ręką Zuzi, nadając pokojom pozór fałszywej wiosny. Jak zawsze, tak i teraz w saloniku było ciepło, zacisznie wszystko stało na dawnym miejscu, żelazny Napoleon dumiał pod lustrem, Amorek figlował na tabakierce, księżę Józef, o błękitnych oczach z paciorków, topił się w Elsterze.

Miedzy tymi starymi pamiątkami dobrze było starym na świecie. Nawet i dawny porządek domowy powrócił, już teraz bowiem Major z Zuzią nie mogli wychodzić i bałamucić z godziną preferansową. Dnia jednego mała rodzina jak zwykle zebrana była koło stolika przy kominie i Przeor zapowiedział bezatut, gdy nagle z daleka usłyszano dzwonek sań, coraz to bardziej zbliżający się, ujadanie psów za bramą, potem dzwonki pod oknem. Zanim kto miał czas się obejrzeć, drzwi od saloniku rozwarła jakaś niecierpliwa ręka i postać nieokreślona, zrazu nie wiadomo, kobieta czy mężczyzna, stanęła na progu.

Była to kobieta – tylko w krótko ostrzyżonych włosach, w krótkiej spódnicy i w butach; dziko wyglądająca, cała ośnieżona i obłocona.

– Czy znajdę tu Majora Kostakiewicza? – rzekła z progu, zdejmując kapelusz, ale nie zrzucając futra. – Przepraszam państwa, jestem Wanda... nic dalej... po prostu Wanda... mam interes do załatwienia z Majorem.

Za każdym jej krokiem zostawały wielkie ślady błota na posadzce. Trzeba było widzieć minę Pułkownikowej. Major, opierając się na kiju, wyszedł z za stołu i krótką chwilę rozmawiali z sobą po cichu. Trudno było poznać Majora, gdy wyrzekł:

– A więc już się rozpoczęło...

Panna Wanda podeszła do stołu, na którym jeszcze niesprzątnięta stała herbata, naląła sobie pełny kieliszeczek araku, wybornego araku, którym Zuzia zaprawiała poncz dla Przeora i wypła duszkiem, po czym siadając, rzekła:

– Odpocznę.

Major ciągle stał jak wryty, z oczami wpatrzonymi w ogień.

– Boże! – rzekł wolno, podnosząc ręce i zapominając o obecnych. – Boże miłosiwny, uzbrój ich w męstwo, w siłę!

– I w pieniądze – odezwała się panna Wanda, uderzając rękoma po kolanach. To był bowiem interes, w którym przyjechała do Majora.

Co Przeor dodał do ogólnej składki, to znowu poszło na rachunek otwarty, za który miał kiedyś odpowiedzieć Major.

Pułkownikowa była więcej zgorszona obejściem emisariuszki, aniżeli przejęta wielkością sprawy; Major był w szczerym natchnieniu, na jego słowa o Duchu

Świętym, który poprze sprawę, staruszka tylko dość kwaśno zwróciła się do panny Wandy, pytając ją od niechcienia o szczegóły podróży, a całą uwagę zwracając ze zgorszeniem na ślady błota i śniegu na posadzce.

Nie był to ostatni gość, który odwiedził Majora; odtąd co kilka dni prawie i zwykle w godzinę wieczorną zajeżdżali rozmaici goście, posłowie zza Wisły, czasem zbiegowie z różnymi interesami, wiadomościami i prośbami; ani sposób było utrzymać teraz porządek w domu, wszystko przewrócone było do góry nogami, biedna Ciotunia nie mogła zaś niczym się zająć – była chora na ciągłą fluksję, bo ci panowie, wchodząc do salonu, nigdy prawie nie zamknęli drzwi za sobą, więc były bezustanne przeciągi.

W lecie Major zaczął jeździć do miasteczka, Bóg wie, co tam robił. Często zabierał się na bryczce, która szła po ojca Jana i nie wracał aż nazajutrz, czasem i dwa dni był poza domem. Ten grzech byłaby mu już Pułkownikowa darowała, ale gniewało ją to bardzo, że nigdy nie wiedziała, którego dnia wróci i na próżno kolacja czekała na niego; jedno więcej kurczę zabito, nie wiedzieć po co.

Staruszkę także obrażało wszystko, co było nieporządne, nieczyste, a koło Majora robiło się jakoś coraz biedniej; płaszcz, który nosił, był przy letnim słońcu skandalicznie brudny, a Major nie chciał słyszeć o nowym i Zuzia w wielkim sekrecie wykroiła ze swojego starego kabacika kawałek aksamitu i obszyła nim kołnierz, lecz to nie pomogło wiele i Przeor z Pułkownikową zacięli się. Domyślać, że mały kapitalik,

który jeszcze Major miał, przybywszy do Dąbrówki, przeszedł w nieznane ręce; deponował go bowiem z początku u Pułkownikowej, ale jak tylko zaczęli się zjeżdżać przyjaciele, odebrał depozyt i pieniądze już nigdy nie wróciły do szufladki. Kapitalik, jakikolwiek jest, zawsze trochę dodaje wagi człowiekowi; obranemu z pieniędzy łatwo być w oczach ludzkich obranym ze wszystkich zalet. Biedny Major, im gorzej szło w kraju, im smutniejsze wiadomości nadchodziły zza Wisły, tym w dziwniejsze popadał humory; bywało, że całymi godzinami nie mówił albo, co było wręcz przeciwne jego usposobieniu, stawał się opryskliwy. Jediną pociechą jego wówczas była Zuzi. Ona go rozumiała, ona wszystkie jego ułomności, smutki łagodziła; gdy patrzył na nią, zdawało mu się, że można żyć, choć Ojczyzna ginie.

Powoli tymczasem, bardzo powoli dojrzewiała myśl w głowie Przeora. Raz, gdy jak zwykle siedzieli z Pułkownikową przy stoliku, ojciec Jan rzekł:

– Nie ma lepszego schronienia dla starych, opuszczonych ludzi nad klasztory.

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której Przeor nie podniósł oczu. Pułkownikowa zawzięcie robiła pończochę.

– Masz słuszność, ojcie Janie – rzekła nareszcie. – Nie ma lepszego schronienia nad klasztory dla ludzi, bez rodziny... bliższej, ale, cóż z tego?

To z tego wynikło, że wprowadzie w klasztorze, którego ojciec Jan był przeorem, nie było miejsca dla rezydentów, ale o dwanaście mil stamtąd była filia tego

samego zakonu, a tam znajdowała się cela, zwykle pusta, którą, używszy protekcji, można było za małym wynagrodzeniem odstąpić dla Majora. Z nagłą pieczołowitością zaczęła się Pułkownikowa wypytywać, czy to celka ciepła, od południa, dogodna?

– Poślę po niego konie co miesiąc... – usprawiedliwiała się przed własnym sumieniem – może tu przyjechać co wakacje, przynajmniej co Święta Wielkanocne z pewnością. Dziękuję ci, kochany ojczy, za ten pomysł – dodała, żegnając Przeora – to nareszcie jedyny sposób, abyśmy mieli spokój, a przy tym dogodzili i jemu.

– Uproszę cię, ojczy – odwołała go od progu, podnosząc się, na wpół z fotela, cała już ożywiona projektem – meble mu dam, o tym myśleć nie potrzeba! Wszystko dam – uśmiechnęła się po wyjściu Przeora sama do siebie. – Łóżko... które by łóżko? Nie to, na którym śpi... to drugie, ze strychu... stoliczek... tak... stoliczek z góry... i biurko. Mówiąc między nami, stół miał tylko pół trzeciej nogi, a biurko, stary zabytek po ojcu pułkownika, było na wpół stoczone robakami.

Pułkownikowa nie czekała długo z oznajmieniem projektu Majorowi. Zaraz nazajutrz skorzystała z chwili, gdy zostali sami w saloniku, po śniadaniu. Był to śliczny, pogodny dzień późnego lata i Major był w wyjątkowym humorze, przymrużył oczy i ogrzewał się w promieniach słońca. Trudno mu się było oprzeć jakiemuś błogiemu uczuciu spokoju, ufności, którego od dawna już nie zaznał. Tego rana zrobił długi spacer, oparty na ramieniu Zuzi, a dziewczyna miała dziwny

talent rozjaśniania ciemnych jego myśli. Czasem patrząc na nią, tak serdeczną, tak poczciwą, widział w przyszłości męża, na którego ramieniu ona się oprze i rodzinę, co koło nich obojga wzrastać będzie, i zdawało mu się, że te słabe jej ręce zbudują filar mocny i niewzruszony, rodzinę, na której się naród będzie mógł oprzeć i że Bóg nie dopuści zguby narodu, co takie ma kobiety. I zamiast wojny i krwi zdawało się staremu jasnowidzącemu, że widzi pogodną drogę pokoju, pracy i cnoty, po której naród postępować będzie naprzód. I gdy tak siedział z przymrużonymi oczami w promieniu słońca, widział wznoszące się w pustych polach chaty białe, murowane, z ogrodami o kwitnących kwiatach, z zielonymi łanami zboża, z pełnymi spichrzami i stodołami, z dachu których bocian, stary ptak piastowski, oznajmia klekotaniem spokój ludziom dobrej woli.

– Majorze – przerwała Pułkownikowa błogą wizję staruszka – mam projekt dla ciebie.

Pułkownikowa miała serce twarde, rękę szorstką; nie miała zwyczaju powoli mierzyć gorzkiej prawdy i „oszczędzać wichru strzyżonym owieczkom”. Od razu powiedziała wszystko: że pragnie umieścić Majora na rezydencji w klasztorze, że zapłaci za niego, co zażądają poczciwi Ojcowie, że w Wielkanoc i Boże Narodzenie pośle po niego konie, że pomyśli o jego meblach i da mu łóżko, biurko i stolik.

Po czym odetchnęła i czekała odpowiedzi, ale czekała długo. Za pierwszymi słowami jej głowa

staremu opadła na piersi, zakrył twarz dłonią i tak milczał długą chwilę.

– A więc... wypędzacie mnie – rzekł nareszcie, patrząc w inną stronę, głosem cichym i z lekkim westchnieniem.

To się nie podobało Pułkownikowej.

– To nie, mój kochany... – rzekła – ale widzisz... jestem stara, lubię spokój.

– Tak... masz rację – odparł wolno, jakby z ciężkością się wyrażając – jesteś stara, lubisz spokój. Dobrze, pojedę.

Podniósł się z krzesła, mimo woli objął wzrokiem salonik i wszystkie kąty, które mu od kilkunastu miesięcy, odkąd był w Dąbrówce, drogimi się stały.

– Pojedę – rzekł bez cienia gniewu – ale nie pomiędzy mnichów, ja bym tam nie wytrzymał. Co chcecie?

– I cóż zrobisz z sobą... ciekawa jestem... na to się nie zgadzam. Proszę cię, nie odrzucaj mojej dobrej woli i chęci... zresztą cóż zrobisz... kiedy twój kapitalik...

– Co zrobię - przerwał Major. – Ha! To, co dotychczas robiłem... o to się nie troszcz.

Wstał i powoli pokulał ku drzwiom; od progu odwrócił się i dopiero Pułkownikowa spostrzegła, że był bardzo blady.

– Pojedę dziś po południu i tylko będę cię prosić o konie na kolej.

Pułkownikowa chciała oponować, ale pomimo łagodności i pokory obejścia Majora, coś było w jego mowie, co nie cierpiało żadnego sprzeciwienia. Dopiero

zrobiło jej się bardzo smutno i niespokojnie koło serca; poczuła, jakkolwiek niewyraźnie, że to, co robiła, było złym uczynkiem.

Zawołała natychmiast Zuzię, opowiedziała jej, co zaszło i kazała jejbiegnąć do Majora i przebłagać go, prosić, by przynajmniej zatrzymał się dni kilka.

Dziewczyna wróciła po chwili drżąca i cała we łzach, oznajmiając, że Dziadunio jej powiedział, że się wcale nie gniewa i nie dlatego odjeżdża, aby był obrażony, ale...

– Co mówił? – niepewnym głosem pytała babka.

– Mówił – szlochając już, szeptała Zuzia – że mu tu było bardzo dobrze, że nigdy nie zapomni... że... że... to była jedyna chwila spokoju i szczęścia w jego życiu, ale że widzi... za późno... że nam psuł spokój i porządek domowy, że teraz choćby został, już by mu się ciągle zdawało, że jest zanadto... i mówił... że nie zostanie...

– Nawet dla ciebie? – pytała Pułkownikowa.

– Ja mu to mówiłam... ja mu to mówiłam – szlochała Zuzia – ale on powiedział, że nie może... O mój Boże! O mój Boże!

Obiad tego dnia był prawdziwie żałobny. Posłano po Przeora, który nie przyjechał aż po obiedzie i miejsce jedno było puste. Zuzi grochem łyży kapały na fartuszek, pomimo że ciągle piła wodę, aby się trochę uspokoić. Ciotunia miała oczy czerwone. Pułkownikowa nawet nic jeść nie mogła.

Wytarty płaszcz Majora leżał przygotowany na krześle i bardzo niewielkie zawiniątko, koło niego parasol biały, płócienny i zapasowy kij inwalidy.

Nie było wiele czasu; pociąg wyjeżdżał nazajutrz raniutko, aby więc stanąć przed nocą na stacji, trzeba było jechać zaraz po obiedzie. Gdy Przeor wszedł do pokoju, już Major zegnał się z wszystkimi; wszyscy prawie, nawet ludzie, którzy zeszli się z całego domu, a byli szczerze przywiązani do starego, mieli łzy w oczach...

Major był trochę blady, ale zresztą oczy miał suche, tylko z twarzy jego znikł wyraz żołnierskiej prostoty, który ostatnimi czasy coraz częściej tam gościł, a pozostał głęboki rys mistyczny, smutny, prawie nieziemski. Gdy Zuzia rzuciła mu się w ramiona, dopiero łzy mu się puściły z oczu, ale je otarł niecierpliwie.

– Zostań – szepnęła Pułkownikowa z wielką zgryzotą w sercu.

W tej chwili i Przeor przybliżył się do niego.

– Zostać – powtórzył błagalnym głosem, bo trzeba i jemu oddać słusność, w sercu jego, które nigdy złym nie było, w tej chwili zaszła dziwna jakaś zmiana. Żałował, byłby dał wiele, bardzo wiele, aby odwołać, co zrobił.

– Dziękuję wam – mówił spokojnie Major, przytulając Zuzię, a obejmując ostatnim spojrzeniem wszystkich i wszystko, a mówił poważnie, prawie uroczyście – dziękuję wam za to dobre, za ten spokój, za tę ciszę, której u was użyłem. Bądźcie zdrowi, i ty

moja gołąbko, nie płacz. Zostać z wami? Wczoraj byłbym tu chętnie został do śmierci, ale tak, szkoda, może trzeba było poczekać, byłoby i tak niedługo. Darujcie mi, że byłam ciężarem, nie czułam tego, dopiero od paru godzin czuję.

– Czego ci się chciało, stary? Czego? - mówił już ciszej, kładąc płaszcz. – Emigrant jesteś, włóczęga, tułaczem staniesz przed sądem Pańskim, nie było ci przeznaczonym odpocząć na ziemi.

Na progu jeszcze stanął; w tej chwili zdawał się jakby wyższym, jakby mu światło biło od twarzy.

– Pokój i błogosławieństwo Boże niechaj będzie w domu waszym – rzekł, zakreślając w powietrzu znak krzyża świętego, który jest także znakiem przebaczenia.

Z wieczora dnia tego zerwała burza; wiatr dał od północy, już prawie jesienny, ostry, zimny, a coraz ostrzejszy, im się robiło ciemniej; zrywał kłęby piasku, miótł przed sobą liście oderwane od gałęzi, wstrząsał oknami; stary, drewniany gołębnik na podwórzu gwałcił się, skrzypiał, chylił ku ziemi, aż nareszcie padł strzaskany. Całą noc szalała burza i nikt w dworku oka nie zmrużył. I Przeor także nie spał, co mu się od lat wielu nie trafiło; zdawało mu się, że ma pod głową kamienie, nie poduszki; chwilami odgłos wiatru stawał mu się nieznośny, był to prawie głos ludzki, jakby jęk człowieka, który cierpi, rozpacza i ratunku woła.

Wstawał kilka razy i ciągle a ciągle wracały mu na pamięć, nie wiedzieć skąd, biblijne obrazy. Nikt inny Abła nie zabił, nikt nie sprzedał Józefa, tylko brat rodzony: nie wróg, ani nieprzyjaciół, tylko zawsze brat

zdradza brata. Burza się wzmagała, zaczęło się błyskać; łuna błyskawiczna na krótką chwilę oświecała wszystkie przedmioty w celi księdza i za oknem drzewa, mury klasztorne i całe niebo. Nie zawsze wie człowiek, co się w jego duszy dzieje; żyje w zupełnej nieświadomości własnej istoty i dobrze mu, chociaż źle żyje i tylko niekiedy, nagle, zgryzota rozświeca do głębi tajniki jego sumienia, jak ta błyskawica rozdzierająca czarne niebo.

Przeor uklęknął i znowu wstał i przeszedł się po pokoju; teraz już prawie nie mógł doczekać się dnia, bardzo powoli wlekła się godzina za godziną. Nareszcie szarawe światło zaległo pokoik; dzień był bardzo ponury, bo deszcz lał ciągle i tłukł po szybach.

Tego samego rana obudził mieszkańców miasteczka turkot bryczki po bruku; ten i ów wyjrzał ciekawie, kto by mógł jechać w taką porę i pobożnie się przeżegnał, widząc na bryczce księdza, który zapewne jechał do chorego, bo w taki czas i psa nie wypędzi za wrota, i trzeba już ostateczności, chyba samej śmierci, aby człowieka poruszyć. Bryczka jechała gościńcem ku stacji kolejowej i Przeor kazał wciąż furmanowi popędzać. Nie czuł prawie zimna i słoty, pierwszy raz w życiu nie myślał o sobie. Ale konie były liche, a do tego szły pod wiatr, i słońce było wysoko, gdy dojeżdżały do stacji; już ściany dworca bieleły się z daleka; kilka razy odezwał się świst lokomotywy.

– A nie wiesz ty – pyta Przeor, cały drżący, furmana – a nie wiesz ty, czy to nasz pociąg?

– A juści, że chyba nasz – odparł chłop, który w tej chwili wjeżdżał w wielką kałużę i ciągnął lejce. – A wioho! A coby nie nasz? Możemy nawracać. Widzi Jegomość? – i ręką wskazał na pasmo czarnego dymu, który się kłębił i unosił ponad granicznym lasem, chwilę jeszcze rysował się na błękitnym, roz pogodzonym po burzy niebie, aż ulotnił się i znikł bez śladu.

Stefania Chłędowska
Zuzanna między starcami

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-373-6

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl